GŁOS NARODU

Wspomnienia żony wygnańca.

MICHALINY GRUSZECKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Klimat syberyjski zbawienny jest dla suchotników — mąż mój wyliczał znajomych mu, którzy odzyskali zdrowie. Między innymi wymieniał francuza: Charles Randon marquis de Lucenay, który cierpiąc na płuca odzywał się do mego męża:

„Mikale, Mikale, umrem, umrem!“

A mój mąż mu na to:

„Gorszych od ciebie nie pochowano, wrócili do kraju to i ty wrócisz“.

I tak się stało, powrócił do Paryża i pisał do kolegów wygnania do Warszawy, że się ma zupełnie dobrze.

* * *

Po ciężkiem katorżnem życiu mąż mój w swojem mieszkaniu na posieleniu urządził się bardzo wygodnie — doskonałego miał kucharza wygnańca Polaka, który w kraju służył u księcia Jabłonowskiego — zapasy produktów robił zawsze duże; Teofil ...kowski prowadził ...rstwo dosko ...sztą każdy



Artur Grottger: „Portret kościoła św. Katarzyny w Krakowie“.
(Naśladownictwo zastrzeżone).

z domowników miał jakiś wydział w zajęciach — wśród zwierząt domowych byle gromadka psów z nazwiskami polskimi: jak Wisła, Warta, Burek i Friwol piesek pokojowy. — To dziwne do jakiego sprytu i pojmowania uczuć swego pana dochodzą te poczciwe domowe zwierzęta. Jeżeli zajeżdżali koledzy polacy, wszyscy domownicy doskonale odgadywali że przyjechał swój — bo psy radośnie skomliły i łasiły się — jak zajeżdżał jaki moskal, wpadały we wściekłość i nie pozwalały przestąpić progu ujadając bez wytchnienia.

A najpojętniejszym był Friwol, kiedy mąż mój z kolegami jechał w odwiedziny do innych kolegów blisko mieszkających, brał z sobą Friwola do pilnowania ciepłego odzienia i obuwia w przedpokoju. — Friwol spełniał sumiennie swój obowiązek — ale gdy mu się już sprzykrzyło długie siedzenie, zaczynał głośno poziewać dając znać, że czas wracać do domu — a potem brał po jednym berlaczu w zęby i roznosił składając przed każdym właścicielem i nigdy się nie omylił, który do kogo należał.

Miły, łagodny temperament męża mojego przytem umiejętność, powaga i sprawiedliwość, tak przychylnie usposobiały dla niego lud prosty, że czasami nawet tacy, z którymi żadnych nie miał interesów przybywali gromadnie żeby zobaczyć tego: *„sprawiedliwego Michała Iwanowicza"*, który prowadząc tak szerokie interesa, nikogo nie oszukał i nie skrzywdził. Nawet popi przybywali na te oględziny, najczęściej pijani. Jeden nawet pop przyjechawszy ulokował się w kuchni i nie można się go było pozbyć — upijał się ciągle i kłócił z kucharzem że mu wódki nie dostarcza, sam więc po nią biegał — kucharz schował mu buty, pop bosy leci na skargę do mego męża, ale dobrze już pijany pada na progu w pokoju — wtedy służba chwyciwszy go posadziła na wierzchowca i popędziła prętami konia który uniósł gdzieś biednego popa wykrzykującego i łającego wyrazami ze słownika narodowego. W ogóle duchowieństwo prawosławne na Syberji nie zasługiwało wówczas nawet na miano ludzi a co dopiero na piastowanie godności kapłańskiej. Inną razą podjeżdża znowu jakiś pop w interesach do zagrody mego męża ale tak pijany, że przed samą bramą wypada z sanek. — Sam powoził, nie było więc komu ratować go leżącego na śniegu — a mróz dochodził do czterdziestu stopni — zobaczywszy to służba mego męża, rozśmieszona wypadkiem popa, wybiega i podlewa swemu własnemu duchownemu zimną wodę pod długą jego brodę, która od razu przymarza do ziemi tak mocno, że pop ani głową ruszyć, ani podnieść się nie może, wytrzeźwiony łaje okropnymi wyrazami, wrzeszczy, a służba na rozkaz mego męża podlewa go gorącą wodą — uwolniony wreszcie zawrócił konia i wygrażając odjechał nie przystępując do interesu.

Opowiadał jeszcze mój mąż o ślubie w cerkwi, na który był zaproszony. Wiadomo, że podając ślub obchodzi trzy razy stół przy którym stoją nowożeńcy — obszedł raz i wypił pół butelki wódki, obszedł drugi znowu wypił pół butelki — zaczynając trzeci raz już się nie mógł na nogach utrzymać, pada więc jak długi i powiada do nowożeńców *„dowolno" dosyć* na dzisiaj, wracajcie do domu — a sługa kościelny djak zaczyna palcami brzdąkać po drzwiczkach od pieca i śpiewać pieśni, ale już światowe, których mój mąż nie wymieniał, utrzymując że edycja ich dla dam jeszcze nie wyszła.

* * *

Handlowe interesa męża mego zmuszały go do dość częstych podróży. Otóż pewnego razu zanocował u gospodarza „chlebosała", jak tam po największej części nazywają Tunguzów — i napotkał popa także tam nocującego. Tunguzi mają swoje przekonania religijne i lubią w tej materji dysputować — wkrótce więc wywiązała się teologiczna rozprawa między gospodarzem a popem. — Tunguz wytykał wszystkie niedostatki prawosławnej religji i jej obrządków, pijaństwo i złe prowadzenie się popów. — Pop zaś pod niebiosa wychwalał cerkiew i swój stan duchowny dowodząc, że nigdy jeszcze nie był pijanym. Mąż mój przysłuchiwał się ciekawie dyspucie, podano wreszcie zakąskę i wódkę. — Pop wzdragał się pić z początku, ale zachęcony i zapraszany, wychylił po kolei kilka kieliszków, i miał już jak to mówią w czubku, gdy na raz spadł z sufitu na stół — czarny tarakan.

— No, powiada Tunguz do popa — ochrzcij tarakana toż i to stworzenie boskie.

Pop się obraził.

— Za kogo mnie masz człowieku — zawołał.

— Za dobrego prawosławnego popa — odrzekł gospodarz i położył popowi rubla.

Ale pop się wzdragał, patrzył jednak na rubla, a gospodarz dodał drugiego, potem trzeciego i czwartego. Pop miękł a jak zobaczył piątego rubla, wstał, ubrał się w swoją rassę (ornat) wziął kropidło i dopełnił sakramentu chrztu najdokładniej z odczytaniem wszystkich należnych modlitw dodając: „jeszcze pomolimsia" etc.

Wtedy Tunguz i mój mąż zaczęli kpić z popa, ale on z tego nic sobie nie robił, tylko pięciorublówkę schował głęboko do kieszeni.

* * *

Wygnańcy nasi na Sybirze z 1838 roku utworzyli rodzaj związku nazywającego się *Ogół*. Głównym jego założycielem i organizatorem był Antoni Beaupré, który utworzył kasę wygnańców i bibljotekę swoim kosztem i kierował całym zarządem. Była to organizacja bardzo ścisła rozciągająca się do najdalszych zakątków Syberji, opiekująca się wszystkimi zesłanymi Polakami. Solidarność nieograniczona, prawość, uczciwość i moralność [illegible] hasła stowarzyszenia, którego kie[illegible]wał w rękach

ludzi wybitnych, umiejętnych i rozumnych. — Władza zarządu rozciągała się nad całą masą, składającą się z rozmaitych warstw społeczeństwa i taki wywierała wpływ, że nawet w mieszkańcach syberyjskich obudzała wysoki szacunek i uznanie dla Polaków.

Na czele organizacji i rządów stali znani zapewne niejednemu z nazwiska i faktów, spisywanych z owych czasów:

Antoni Beaupré „wyrocznia Sybirska", Aleksander Krajewski również człowiek wielkiego rozumu i wielkich zasług i inni, no i mąż mój naturalnie do nich należał.

Wszelako nie raz w rozmowach ze mną utrzymywał, że w obec tych wysoko stojących kolegów, czuł się maluczkim i że jako organizator nie mógł się porównać nawet z owymi przedstawicielami władzy nad wygnańcami polskimi.

Jednakże ja znając męża mego dobrze, przekonania jego i poglądy na naszą narodową sprawę, jestem przekonaną że mówił to przez skromność wrodzoną odbijającą się w wysokiej pokorze i zaparciu się prawdziwie ewangelicznem samego siebie. — Jego wiara głęboka szła zawsze w parze z uczynkami, nigdy ręka lewa nie wiedziała co daje prawa, służył Bogu i społeczeństwu, potrzebującego nad możność obdarzał i nigdy o nikim źle nie mówił, chyba o wrogach naszych moskalach z goryczą.

Z wielką przyjemnością wspominał o domach familijnych naszych wygnańców, o Więckowskich, Rubiewiczach, Roszkowskich, Podlewskich, Brynkach — szczególniej o tych ostatnich — bo pod ich opieką w ich domu przeleżał dwa miesiące po wypadku przewrócenia się z powozu i nadwerężenia sobie krzyżów. Jerzy Brynk brat biskupa kijowskiego i żona jego otoczyli go wtedy najtroskliwszą opieką, to też z rozrzewnieniem zawsze o nich opowiadał.

Jakże miłe były opowiadania mego męża, jak głęboko wyryły się one w mojem sercu i pamięci — nieraz długie wieczory spędzaliśmy na poufnych rozmowach, wsłuchiwałam się z natężoną uwagą w każde jego słowo, okraszone rozumem, płynące z serca przepełnionego miłością Boga, bliźnich i Ojczyzny.

Z natury był mowny, więc lubił bardzo gawędy, jednem słowem lubił i umiał mówić — opowiadał też mi o wybitniejszych kolegach, a więc najpierw o Kasprze Maszkowskim, Janie Nowakowskim, Karolu Ruprechcie zasłanym z księdzem Szwernickim *najzacniejszym z najzacniejszych kapłanów,* o dwóch braciach Jordanach Felixie i Juljanie — którzy potem mieszkali z nami, kiedy mój mąż administrował majątkami Branickich na Ukrainie — następnie my wyjechaliśmy do naszego majątku pod Żytomierzem, skąd po raz drugi mąż mój był zasłany a oni pozostali w kraju. Wspominał mi o Piotrze Borowskim, który dorobił się dużego majątku ale związany interesami niewrócił do kraju, majątek stracił i opuszczony sam jeden umarł bez żadnej opieki nad Amurem. — Borowski póki mógł dużo dobrego robił i pomagał kolegom, posiadał własne kopalnie złota, i co wiosny wybierał się do kraju — tymczasem w jednym roku woda zalała mu tak nazwane *pryńki złote,* w drugim posucha eksploatować przeszkodziła, i tak wszystkie jego nadzieje przepadły.

Święta i imieniny wygnańcy obchodzili uroczyście i zjeżdżali się gromadnie. Najuroczyściej może obchodzone były imieniny Antoniego Beaupré i Gaspra Maszkowskiego. Zjeżdżało się do nich do Gornej *) (kopalni ołowiu) do sześćdziesięciu kolegów — wszyscy młodzi i inteligentni, pełni marzeń, nadziei. Można sobie wyobrazić jaka to tam była wrzawa, jakie dysputy, rozmowy, spiewy, deklamacja — jakie rzewne wspomnienia i nadzieje — każdy przywoził z sobą wojłok i poduszkę i spali pokotem, a gospodarz gotował barszcz polski *i tysiąc maldrzyków z sera* — a zajęty gospodarstwem co pewien czas wpadał z warzechą w ręku między kolegów i mieszał się do ich rozmów, albo potakując, albo oponując wygłaszanym zdaniom. Gasper Maszkowski była to postać bardzo wybitna, niezmiernie temperamentu gorącego — na szubienicy w Kijowie spiewał: „Jeszcze Polska nie zginęła" — charakteru nieugiętego, wysoko wykształcony, miłował kraj uczuciem na jakie tylko zdobyć się może polak patrjota, obywatel — powierzchowność miał piękną, była to dusza do gruntu polska, ze wszystkiemi przymiotami staropolskiej gościnności. Znany był w całej Daurji z ulubionym swoim koniem Siwkiem. Kiedy już wszyscy goście pozjeżdżali się, sadzano solenizanta na pewnem miejscu, składano mu powinszowania w gorących uściskach, w słowach, wierszach i spiewach nawet — pamiętam jednę strofę do Siwka:

Siwku mój drogi
Zbieraj swe nogi
Do kraju spiesz,
Tam się zbierzemy
I razem hukniemy
Niech żyje Gasper Maszkowski
Marszałek Konstantynowski.

Bo Maszkowskiego majątek leżał na Wołyniu w powiecie konstantynowskim.

Maszkowski do łez rozrzewniony oświadczał że kwituje z godności marszałka i wszystkich innych w kraju, byleby tylko doń powrócić — poczem następował obiad, niezmiernie ożywiony, wesoły, z oracjami, improwizacjami a nawet kazaniami, w których mój mąż celował, po obiedzie spiewy, deklamacje i nieskończone rozmowy o kraju. Melodje do pieśni sybirskich dorabiał utalentowany muzyk niejaki Gross, ulubieniec męża mojego, ale mąż mój nie miał dobrego ucha i głosu, więc z wielką trudnością wybierałam te melodje według jego wskazówek. Mąż mój tłumacząc się mawiał: „sobie spiewam, nie komu".

(C. d. n.)

*) Gornaja — kantora.

JAN ŚWIERK.

Z wycieczki na Śląsk.

(Ciąg dalszy).

Drukarnia „Górnoślązaka“ urządzona postępowo. Zecernia jasna i wygodna, dobrze odświeżana wentylatorem patentowanym, który w przeciągu kilku minut zdoła całą pracownię napełnić świeżą falą powietrza.

W drukarni jest machina rotacyjna, poruszana siłą elektryczną. Bez żadnej obsługi ludzkiej, bez nakładaczek i odbieraczek, bez huku i stuku, drukuje ta maszyna w przeciągu godziny 10,000 numerów.

Ale jak drukuje!... Papieru nie dostaje ona w arkuszach osobnych, lecz leży u jej stóp ogromny zwój papieru nierozcinanego. Papier ten maszyna chwyta, przesuwa między walce, drukuje z szybkością błyskawiczną po obu stronach i podaje gotowy, odcięty, wydrukowany i złożony numer.

Co 50 egzemplarzy maszyna poda, drucikiem daje znać, a osobno umieszczony zegar liczy sumę wszystkich podanych numerów. Z przyjemnością patrzyliśmy na tę pracę. Pan Korfanty zaznajomił nas w drukarni z p. Reszką współwłaścicielem tej gazety, który z mozolnie zarobionych pieniędzy ofiarował znaczną kwotę na kupno Górnoślązaka i opiekuje się nim szczerze.

P. Reszka lubi być często i w drukarni i w redakcji, bo go cieszy bardzo ta praca i radby jak nam powiada „tylko od socjalistów Polaków oderwać“. Rozgadaliśmy się z nim długo... a wreszcie zaprowadził nas do siebie na wieś do Królewskiej Huty, gdzie ma dwie kamienice własne i tam mieszka.

Naturalnie ucieszyliśmy się, bo radzibyśmy być w domu śląskiego robotnika.

Wsiadamy więc do „kolejki“ jak tam słusznie nazywają tramwaj elektryczny i jedziemy do Królewskiej Huty.

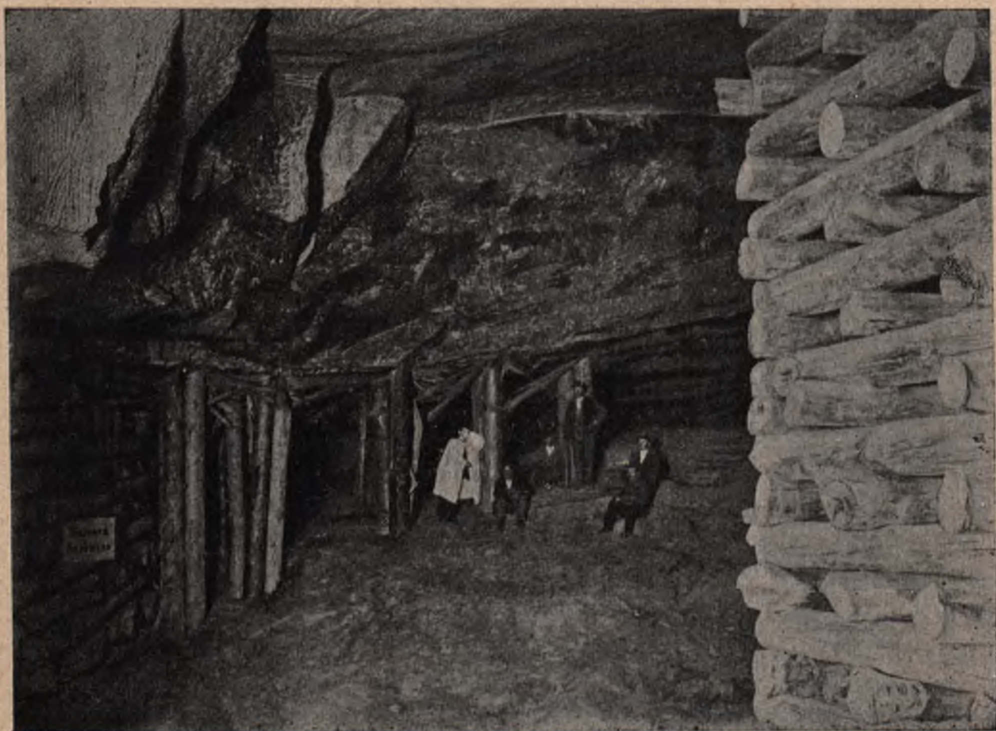
Kończą się Katowice, ale szereg kamienic wysokich nie kończy się. To wsie są takie jedna za drugą, bogatsze i wspanialsze od naszych miasteczek. Cokolwiek dalej, spostrzegamy cały las kominów fabrycznych, wysokich, czerwonych, buchających kłębami czarnego dymu...

— Są tu największe huty żelazne — wyjaśnia nam p. Reszke, zaś p. Korfanty dodaje:

— Huty miljonerów pruskich, w których kilkadziesiąt tysięcy polskich robotników pracuje.

— Czy nie możnaby takiej huty zwiedzić — pytam z zajęciem...

— Może nam się uda. Trzeba iść do dyrekcji z prośbą o pozwolenie. Oni nie lubią takich zezwoleń dawać dla kilku przyczyn. Po pierwsze, iż jest to zawsze połączone z niebezpieczeństwem, po drugie, iż mają oni rozmaite patenta, a boją się, by kto nie podpatrzył, potrzecie, iż mnie jako redaktorowi „Górnoślązaka“ specjalnie nie zechcą pozwolić, ale próbujmy...,



„Komora Buchmana“.

Dojeżdżaliśmy właśnie do Królewskiej Huty. Wieś to niby się zwie, ale do wsi podobna nie jest. Są tu dwa gimnazja, dwa kościoły katolickie, ulice szerokie i dobrze utrzymane, a kamienice wszystkie 2—3piątrowe. Sklepy rozmaite, wystawy wspaniałe, mało co się różnią od sklepów w Katowicach. I jakkolwiek Królewska Huta robi wrażenie miasta zupełnie podobnego do Katowic, przecież inna jest tu cecha. Bo gdy tam nie spotykało się żadnego śladu życia polskiego, tutaj nic niema niemieckiego tylko napisy na szyldach i rogach ulic oraz sklepy czysto szwabskie. Kogo zaś się spotka to swój, zaraz znać, że to nasz lud, nasze typy, nasi bracia...

Kobiety tu w ubiorach narodowych lub mieszczańskich, ale bez pretensji mody... Chustki mają na głowach, szerokie spodnice, korale na szyi... Mężczyźni wszyscy w strojach ich narodowych albo w bluzach robotniczych.

Jakkolwiek jesteśmy tu tak samo pierwszy raz, jak w Katowicach, a przecież czujemy się jakby wśród znanych stron, tak obecność ludu działa miło i tak pociąga serce ku sobie...

Ponieważ z zwiedzaniem huty trzeba się spieszyć, bo będzie wiele do widzenia, odkładamy wizytę u p. Reszke na później, a teraz idziemy w stronę jednej z największych hut.

Ogromna przestrzeń otoczona wysokim murem, zamknięta żelazną bramą, przy której zaraz jest mieszkanie odźwiernego i ten nie wpuści obcych do wnętrza jeśli się nie wykażą pisemnem zezwoleniem dyrekcji.

Czekamy, aż zezwolenie to przyniesie nam p. Korfanty. Dymy straszne, czarne, duszące owiewają nas, z dala słychać szum i huk pracujących młotów i kół, a w około jak tylko oko zasięgnie, na horyzoncie dalekim i na bliższym planie, widać całe zastępy kominów, fabryk, pieców i szybów wiertniczych.

Jakże to inny świat od tego, do któregośmy przywykli!... Ciche, pełne głuchych i niby trwożnych szeptów pola naszej wioski ubogiej, nędzne i prawie strzechą ku ziemi dotykające chaty po wsiach naszych, w zachodnich blaskach zorzy wieczornej mieniące się złotawem odcieniem, niebo to nasze jasne, jakie niepodobne do świata Królewskiej Huty i jakże dziwnie myśl ma waży się w tej chwili nie wiedząc, czyli użalić się nad naszymi, iż biedni są bez zarobku, lub pozazdrościć tym, którym pracy nie braknie zda się na wieki całe...

Wreszcie pozwolenie dane i wchodzimy do wnętrza fabryki...

Przewodnik wiedzie nas najpierw tam gdzie rudy surowe przetapiają. Mają tu trzy gatunki rudy. Szwedzka, hiszpańska i nasza t. j. śląska. Śląska ruda wygląda jak rozsypana, źle wypalona cegła i zawsze jest wilgotna. Tamte są twarde i ciężkie. Nasza jednak w połączeniu z tamtemi, ma dawać wyborne żelazo. Rudy te roztopione w olbrzymim piecu wylewają dla ostudzenia na ogromną płaską formę, która ma przegrody mniej więcej zbliżone do foremek na cegły. Jestto najpierwsza czynność w hucie. Aby rudę stopić i doprowadzić do stanu płynnego, potrzeba ogromnej ciepłoty, więc osobno jest urządzona machina do wtłaczania powietrza w piec, a tak przy wielkiej ilości składników, potrzebnych do palenia się, siła ciepła podnosi się do żądanej wysokości.

Następnie oglądamy inny piec, w którym oczyszczają bryły przetopionego już z rudy żelaza, z rozmaitych zbytecznych składników. Rzecz naturalna, iż nie zdołamy całego procesu tych prac opowiedzieć dokładnie, bo zabrałoby to za wiele miejsca i nie jesteśmy na to dość przygotowani.

Uwijamy się za przewodnikiem po labiryncie hal, kurytarzy, podwórzy, piąter wysokich i niskich sklepieni, a wszędzie widzimy ogromną liczbę ludzi zmęczonych, osmolonych, potem zlanych, rozpalonych od ogni lub szybko goniących z czerwonymi bryłami żelaza.

W około nas straszne, buchające płomieniami piece, z których wnętrza iskry wylatują jak rakiety, dokoła których bije żar palący i powietrze jest duszne jak w piecu piekarskim.

Cztery tysiące robotników pracuje tu dzień i noc, bez przerwy!... A nieustaje ta machina raz w ruch puszczona nigdy ani na jeden dzień w roku, bo ogień musi wiecznie płonąć, żelazo wiecznie się rozgrzewać, młoty muszą wiecznie kuć i 4 tysiące robotników musi pracować dzień i noc... taka jest potęga przemysłu i wynalazków. Na podwórzach rozlicznych wznoszą się ogromne kopce przepalonych żużli, które dziewczęta nakładają do worków małych i kolejką są wywożone dalej. Przy tej tylko pracy spostrzegliśmy tu pomoc kobiecą.

W walcowni zabawiliśmy długo, lecz rzec trzeba szczerze, iż żadne dramaty sceniczne nie dadzą tyle wrażeń, co taki widok tysiąca ludzi zaprzągniętych w jarzmo ciężkiej pracy.

Ogromnej rozległości hala ma może więcej jak kilkadziesiąt pieców, w każdym ogniu pieca rozpala się bryła żelaza, a osobno do tego odstawieni ludzie bryły te obracają ogromnemi obcęgami. Rozpaloną bryłę żelaza, prawie aż białą od gorąca wyrzuca robotnik nadzwyczaj zręcznie na ziemię w ten sposób, iż po sporządzonej gładko posadzce sunie się ona jak po lodzie w kierunku jej wskazanym. Opodal czekają inni robotnicy z obcęgami dużemi na kółkach, chwytają bryłę szybko, wiozą w stronę przeznaczoną i rzucają znów z wielką zręcznością na ziemię, gdzie ją popychają inni pod walce. Raz przytłoczona walcem, bryła ta wychodzi już znacznie spłaszczona. Chwytają inni robotnicy, podają pod drugi walec, z tamtąd pod trzeci lub czwarty, aż wreszcie wysuwa się już czerwona ognista wstęga długiej szyny, z którą szybko biegnie robotnik, aby ją równo na zimnej posadzce do ostygnięcia ułożyć. Gdy z czwartego walca wywlekają cienką wijącą się jak wąż ognisty szy-

nę, w drugim walcu podają już świeżą taflę, a w pierwszym nowa bryła ognia bywa spłaszczona. I tak ciągle i tak bez końca. Noc i dzień — walce nie ustają w ruchu, ognie w piecach nie gasną, robotnicy uwijają się z rozpalonemi bryłami żelaza i ogniste szyny wiją się po pod nogi, syczą, bledną ciemnieją i gasną.

Niejeden raz, szyna taka rozpalona źle rzucona owija się o nogę robotnika i przecina ją w mgnieniu oka tak jak płonąca zapałka przepala nić cienką... To też jak powiada nam p. Kor... kalek w tej stronie pełno...

W innej stronie tej hali, rozpaloną bryłę żelaza zmieniają walce i młoty w koła do lokomotywy. W jednem rozgrzaniu żelaza wszystko jest wykonane z szybkością błyskawiczną. Spłaszczona bryła, przewiercony otwór na oś wyrznięte wycięcia, zagięte załomy jako obręcze koła i zanim żelazo ostygło i zciemniało, już gotowe koło wychodzi z pod młotów i walców.

W tamtej stronie kują walce arkusze blachy, tu robią obręcze cienkie i długie, które znów z oddali widziane zdają się jak gadziny płonące rzucające się w konwulsjach na wsze strony...

Prawdziwie dantejskie obrazy.

(C. d. n.)

Anna K.

Poeta przed sądem.

(Humoreska.)

Kraków 1902 r.

Szarpałyż sobie, szarpały anioły i djabły duszę biednego konającego poety, a nawet któryś z tych czarnych zaczepił o nią tak silnie pazurami, że byłaby jak nic — administracyjnym bożym porządkiem — bez sądu w piekło poszła, gdyby nie to, iż nagle z ziemi szept cichej modlitwy doleciał, a w niej zaszemrało imię poety; wtedy djabły przerażone puściły go — temu Zawziętemu nawet pazur się złamał — i smyrgnęły do swego ognia.

Konający odetchnął głęboko, a z oka spłynęła mu łza ostatnia... ulgi; poczem anioły marne, wychudzone ciało jak niepotrzebny gałgan na twardem łóżku zostawiwszy, duszę pod skrzydlatą pachę wzięły i ostrożnie a lekko jęły nieść w górę.

Poeta począł być kontent — umierał niewyspany, nieswój jakiś, trochę głodny jak zwykle; palce go nawet jeszcze od długiego pisania i głowa od ciągłego myślenia bolały — a oto pozbył się nóg, żołądka, głowy, palców, czując się mimo to kompletnym samym sobą, i odpoczywa wreszcie.

Było mu nawet całkiem dobrze, coraz lepiej! Uzuchwalony — on z ludźmi zawsze nieśmiały za życia — wychylił się z poza białych piór anielskich ukradkiem, spojrzał na ich cudne twarze — och cudniejsze od wszystkich jego tam na ziemi boginek — i zapytał z cicha:

„Czy ja lecę do Królestwa niebieskiego?“

Najbliższy mu i najpiękniejszy anioł z subtelną ironją się uśmiechnął.

„Nie sądzę! odparł, zbyt wielu ludzi skarży się tam przed Bogiem na ciebie“.

Poeta zgłupiał:

„Jezus, Marja! i cóż gadają?“

„Spytaj czego nie gadają!“ uśmiechnął się znów figlarnie anioł i piórem skrzydła machnął.

Poeta zadrżał poraz pierwszy: Co to jest takiego! Skargi! i to na niego skargi — ależ on muchy nawet w swojem życiu nie tknął.

Musi to być jakieś nieporozumienie, pomyłka!

. . . .

„Stój spokojnie i niedrżyj tak bardzo“ upominały go szeptem anioły, „Najwyższy Sędzia patrzy!“

Istotnie Najwyższy Sędzia patrzył, choć już mówić przestał, a od owego patrzenia biednego poetę — który nigdy nie bał się nikogo za życia — lęk śmiertelny wstrząsał.

Nagle znów nad nim w chmurze głos ogromny rozbrzmiał:

Sprowadzić tu świadków!

Anioły u stóp Pana obecnie skłoniły się nisko, a następnie porwały do lotu w dół, i za chwilę szereg świadków stał już przed Nim: ogorzały, tłusty, zdrowy szlachcic; sympatyczny, jowialny staruszek; poważny pan z twarzą żółciową i zgryźliwą; przekwitła nieco dama ze szkłem przy oczach (przez które impertynencko przyglądała się biednemu poecie), bardzo piękna panną patrząca nań z pogardą (na widok której twarz w dłoniach ukrył;) modny młodzian w nader szpiczastych lakierkach i rozdzieloną nad czołem grzywką; wreszcie, na samym końcu, dziewiętnastoletnia dziewczyna blada bardzo i słaniająca się na nogach — oczy tylko przepyszne, czarne, błyskały niby dwa djamenty z wychudzonej twarzyczki, która jednak na widok poety pokryła się gwałtownym rumieńcem, źrenice zaś — te czarne — łzami się zamgliły.

Poeta coraz więcej był zdumiony. Prócz owej pięknej panny, o pogardliwym twarzy wyrazie, (ach! znał go on na pamięć niestety!) nikogo ze świadków tych nie widział nigdy w życiu. Najwyższy Sędzia nie kazał mu długo czekać, najprzód bowiem doń się zwrócił grzmiąc groźnie: „oto przez ciebie w czyścu są!“ a następnie tłustego szlachcica zapytał:

„Rzeknij, co masz przeciw temu człowiekowi?“ Szlachcic poczerwieniał jeszcze bardziej na obliczu, skłonił się z szerokim gestem Panu Bogu mówiąc: Padam do nóg! potem odsapnął, kaszlnął i rzekł śmiało:

„Zgorszył mnie Sędzio Najwyższy, zgorszył mnie ojca dzieciom! Bogiem się świadczę, przypomniał mi rzeczy, rzeczy...“ tu ręką machnął,

„co to gadać! rzeczy o których już zwolna zapominać począłem!... Pfuj! skandale na skandalu i to żebyż to jeszcze prozą ale wierszem! Spaliłem Panie, spaliłem! dzieci mam przecie, młodzież w domu — spaliłem niegodne farmazońskie *lokubracje* ale... tu westchnął, za późno było."

Skończył mówić — wówczas Sędzia Najwyższy głos zabrał, a głos ten brzmiał jak grom:

Iż zgorszył jednego „z tych" niech mu będzie uwieszony kamień młyński i... tu musiał wzrok swój zniżyć na biednego poetę, gdyż urwał nagle.

Istotnie delikwent stał nieprzytomny ze strachu i wprost osłupiałemi ze zdziwienia oczyma wpatrywał się w szlachcica; tak iż anioły — głowy skrzydłami nakrywając przez cześć dla Najwyższego Sędziego — uśmiechały się figlarnie.

Pan się zastanowił i na inne anioły — po kamień biegnące — zawołał:

„Nie trzeba, zostawić go w spokoju!"

One zaś cichutko zachichotały: „Biedak nie wiedział co czynił!"

Prawda iż poeta tak osłupiałą wciąż jeszcze miał minę, że nie zauważył nawet jak Sędzia Najwyższy damę z lornetką przy oczach przed siebie powołał i znowu „Rzeknij co masz przeciw temu człowiekowi?" spytał.

Dama lornetkę z oczu wyjąć musiała zdetonowana trochę i niespokojnie:

„Zdemoralizował mnie Sędzio Najwyższy, ach! zbyt pięknie miłość przedstawiał, tak idealnie! to też wstęp na boczne drogi mi ułatwił; bez niego zostałabym była do końca nieskalaną, choć pokusy oddawna mnie już dotykały zbliska, tuż, tuż!..."

Tu westchnęła — niewiadomo: ze skruchy czy też na wspomnienie owych pokus blizkich. Poeta głupiał coraz bardziej, ale Pan nie zwracał nań najmniejszej uwagi tylko zawezwał do siebie trzeciego świadka. Był nim ów sympatyczny, żwawy staruszek. Wezwany, śmiało podszedł, Pana pod nogi podjął, a gdy poetę ujrzał żachnął się i nie czekając zapytania zaraz jął mówić i rękami rozkładać:

(Dok. nast.)

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Czy niema innych kandydatów do spadku?

— Żadnego. Mógłby nim być tylko Roger Baskerville, najmłodszy z trzech braci, z których sir Karol był najstarszym. Drugi brat, zmarły przedwcześnie, był właśnie ojcem owego Henryka. Trzeci, Roger, był synem marnotrawnym, żywą podobizną duchową starego Hugona. Tyle nabroił w Anglii, że nie mógł już tu przebywać, uciekł do Ameryki środkowej i umarł w roku 1876-ym na żółtą febrę. Henryk jest ostatnim z Baskervillów. Za godzinę i pięć minut mam go spotkać na dworcu Waterloo. Miałem depeszę z uwiadomieniem, iż przybył dziś do Southampton. A teraz, panie Holmes, powiedz, jak mi radzisz postąpić?

— Dlaczego sir Henryk nie miałby wrócić do domu swych ojców?

— Wydaje się to rzeczą naturalną, a jednak, jeśli weźmiemy pod uwagę, że każdego z Baskervillów, który tam przebywa, czeka śmierć nagła i gwałtowna... Jestem pewien, że gdyby sir Karol mógł był ze mną mówić przed katastrofą, byłby mi zakazł wprowadzać ostatniego z rodu do owej przeklętej rezydencji. Z drugiej strony, dobrobyt całej okolicy zależy od przebywania dziedzica w Baskerville Hall. Całe dzieło, zapoczątkowane przez sir Karola, pójdzie w niwecz, jeśli nikt nie zamieszka na zamku. Boję się, aby dobro tej okolicy nie skłoniło mnie do nielojalnego postąpienia z sir Henrykiem i dlatego proszę pana o radę.

Holmes zastanawiał się długą chwilę.

— Zatem — odezwał się — według pańskiego przekonania, jakaś siła nieczysta grozi w tych stronach Baskervillom. Wszak pan w to wierzy święcie?

— Gotów jestem przypuszczać, że tak jest.

— W takim razie, ta siła nieczysta może pastwić się nad Baskervillem równie dobrze w Londynie, jak i w Devonshire. Szatan, którego działanie byłoby umiejscowione, nie byłby groźnym.

— Starasz się pan ośmieszyć moją obawę, panie Holmes. Lecz gdybyś sam widział te rzeczy nadprzyrodzone, odechciałoby ci się żartów. Z pańskich słów miarkuję, że ów młodzieniec jest równie bezpieczny w Londynie, jak i w Devonshire. Przybywa za pięćdziesiąt minut. Cóż mi pan radzisz?

— Radzę wziąć dorożkę, zawołać psa, który

skowyczy za drzwiami i jechać na dworzec Waterloo na spotkanie sir Henryka Baskerville.

— A potem?

— A potem nic mu pan nie powiesz, dopóki nie namyślę się w tym względzie.

— Jak długo potrzebujesz pan namyślać się?

— Dwadzieścia cztery godziny. Poproszę cię, doktorze Mortimer abyś mnie odwiedził jutro rano o dziesiątej. A zechciej przywieść ze sobą sir Henryka Baskerville. To mi ułatwi wykonanie mego planu.

— Zrobię, jak pan chcesz.

Doktor zapisał godzinę na mankiecie i wyszedł. Pan Holmes zatrzymał go na schodach.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł. — Powiadasz pan, że przed śmiercią sir Karola kilku ludzi widziało to zjawisko na łące?

— Tak, trzech ludzi.

— Czy który z nich widział je potem?

— Nie wiem.

— Dziękuję panu. Dowidzenia.

Holmes powrócił na swoje miejsce. Był widocznie zadowolony.

— Wychodzisz, Watson? — rzekł.

— Czy potrzebujesz mojej pomocy?

— Nie, mój drogi. Poproszę cię o nią dopiero w chwili działania. Sprawa wyjątkowa. Przechodząc obok Bradleya, zechciej wstąpić do sklepu i każ mi przynieść paczkę najmocniejszego tytoniu. Jeżeli możesz, byłbym ci bardzo obowiązany, gdybyś tu nie wracał przed wieczorem, a wtedy zestawimy nasze wrażenia i poglądy.

Wiedziałem, że samotność jest niezbędną mojemu przyjacielowi w chwilach, gdy zastanawiał się nad poszlakami spraw kryminalnych, gdy wyciągał wnioski, i tworzył teorje, które okazywały się zawsze słusznemi. To też cały dzień spędziłem w klubie i dopiero około dziewiątej powróciłem do mieszkania przy Bakerstreet.

Gdy drzwi otworzyłem, zdało mi się, że w mieszkaniu był pożar: światło lampy ukazywało się jakby za czarną mgłą. Po chwili zmiarkowałem, że dym pochodzi nie od ognia, lecz od mocnego tytoniu. Wśród kłębów ujrzałem Holmesa w szlafroku. Siedział w fotelu z fajeczką w ustach. Na stole leżało kilka zwitków papieru. Odkaszlnąłem.

— Zaziębiłeś się? spytał.

— Nie, ale można się tu udusić.

— Otwórz okno. Widzę, że spędziłeś cały dzień w klubie...

— Po czem to miarkujesz, Holmes?

— Jesteś rzeźwy, pachnący, w dobrym humorze. Nigdy nie domyślisz się, gdzie ja byłem.

— Nie będę nad tem suszył głowy. Powiesz mi sam.

— A więc byłem w Devonshire.

— Myślą?

— Tak. Moje ciało pozostało tutaj, na tym fotelu, i skonsumowało dwa olbrzymie imbryki kawy i niezliczoną moc tytoniu. Po twojem wyjściu posłałem do Stamforda po mapę tej okolicy i błądziłem po niej przez dzień cały. Pochlebiam sobie, że każda piędź ziemi jest mi teraz znana.

— To zapewne mapa o wielkiej skali?

— Tak.

Rozwinął ją i położył na kolanie.

— Widzisz — mówił — oto łąka, a to — Baskerville Hall.

— Naokoło las.

— Istotnie. A oto Aleja Wiązów, na lewo od łąki. Tu jest wioska Grimpen, w której doktor Mortimer obrał swoją główną kwaterę. W obrębie mil pięciu mało jest ludzkich siedzib. Oto Lafter Hall. Tu — domek przyrodnika Stapleton. Tutaj dwie fermy: High Tore i Fulmire. O czternaście mil dalej — więzienie państwowe Princetown. Dokoła i pośrodku — łąki i trzęsawiska. Taki jest teren, na którym rozegrała się owa tragedja. Postaramy się odtworzyć wszystkie jej sceny i akty.

— Miejscowość bezludna.

— Tak. Djabeł mógł się na niej rozgościć.

— A zatem i pan skłaniasz się do nadprzyrodzonych wyjaśnień.

— Sługami djabła mogą być ludzie z krwi i kości. Należy przedewszystkiem rozstrzygnąć dwa zagadnienia: popierwsze, czy zaszła zbrodnia? Powtóre: w jaki sposób ją spełniono? Jeżeli doktor Mortimer nie jest w błędzie, jeśli okaże się, że mamy do czynienia z nadprzyrodzonemi siłami, w takim razie dochodzenia sądowe są bezużyteczne. Ale musimy wyczerpać wszelkie inne hypotezy, zanim dojdziemy do tego wniosku. Możebyś zamknął okno. Znajduję, że skoncentrowana atmosfera pomaga do skupienia myśli. Czy zastanawiałeś się w ciągu dnia nad tą sprawą?

— Myślałem o niej dużo. Jest istotnie dziwna.

— Są w niej punkty charakterystyczne. I tak, naprzykład, zmiana śladów.

— Doktor Mortimer wyjaśnił to w ten sposób, że sir Karol szedł potem na palcach.

— Doktor powtórzył tylko to, co jakiś dudek powiedział na śledztwie. Pocóżby sir Baskerville miał chodzić na palcach? Nie, on poprostu biegł, uciekał, *uciekał*, aż wreszcie padł twarzą na ziemię.

— Przed czem-że uciekał?

— To właśnie należy wyświetlić! Są poszlaki, że już był wylękniony, zanim począł uciekać.

— Skąd wiesz?

— Przypuszczam, że nastraszyło go coś, co ujrzał na łące. Ten widok pozbawił go przytomności, bo inaczej nie byłby uciekał w stronę przeciwną, zamiast biedz ku pałacowi. Jeżeli świadectwo cygana jest wiarogodne — biegnąc, wołał o pomoc, a pędził tam, skąd pomoc w żaden sposób nadejść nie mogła. Dalej: na kogo czekał owej nocy i dlaczego czekał w Alei Wiązów, zamiast w domu? (C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku